

Tornado 5

Nowa buda.

Ten kto naprawdę szuka, ten znajdzie nawet mrówkę na pustyni Gobi. Tym razem alarm już nie był fałszywy. Po tygodniu karkołomnych i pełnych zapału poszukiwań, pieseczek już w domu. W całej rodzinie i wśród znajomych, wzruszeniom pomieszanym z ekscytacją oraz niedowierzaniem, nie ma końca. Nikt nie wierzy, że udało się nam znaleźć psa. Nawet jasnowidz się zdziwił.

Mąż na fali szczęśliwego odnalezienia, od nowa zapchlonego zbiega, niczym dziki, dostał szwungu do malowania, więc chwycił za pędzel i machnął psu tę nową budę na mahoń, żeby pasowała do ogrodzenia.

Cudownie. Pełnia szczęścia. Tylko, że pies, tuż przed wielką ucieczką został zaszczepiony przeciwko nosówce i z obniżoną odpornością przywłókł do domu anginę stulecia. Widzieliście kiedyś psa z chrypką? Ja widziałam. Tornado o mało nie przypłacił tej przygody życiem, więc zaraz po wizycie u weterynarza i końskiej dawce antybiotyku, dla pewności wpakowałam wariata do samochodu i pojechałam na komendę straży miejskiej, żeby zdjąć ogłoszenie i odwołać czerwony alarm na dzielni.

Fruwając ze szczęścia na wysokości lamperii starannie zamknęłam ówczesny pojazd i pobiegłam zdjąć ogłoszenie na komendzie. Podziękowałam funkcjonariuszom i przy okazji zdjęłam jeszcze kilka z kilkuset wiszących w okolicy ogłoszeń i z wielkim zdziwieniem zareagowałam na pętające się u mych nóg moje własne (zamknięte w samochodzie) psisko.

Kurczę, jak wylazł? Całkiem prosto. Nadepnął łapą na guzik od otwierania szyby, otworzył sobie okno i radośnie wyskoczył na ulicę. To nic, że przy okazji zjazdu na jezdnię, na całej

wysokości przerysował drzwi pazurami. To nic. Naprawdę. Przecież to wielkie szczęście, że kochany piesek się znalazł, więc wybaczam i w ramach chwilowego rozpasania, w drodze wyjątku pozwałam mu się bezczelnie rozwalić na półce nad bagażnikiem.

Później przez pięć lat nie dałam rady usunąć z niej kłaków pseudo holenderskiego wolfhund'a, ale na tamten szczęśliwy i pełen uniesienia czas, Tornado mógł nam powbijać swoje wilcze kłaki nawet pomiędzy zębami, w zupę i w nową pościel.

No ale nic, zagoniłam bydlę z powrotem do samochodu i obiecałam sobie, że przy następnym przystanku na wszelki wypadek zamknę go w bagażniku. Niech sobie wyje. W ostatnim ludzkim odruchu szczęśliwego człowieka jednak darowałam mu ten bagażnik, ale tym razem już zamknęłam drzwi pilotem. Ech, to nie takie proste. Jeszcze nie zdążyłam kupić pomidorów na straganie, jak wyje. Właśnie się dowiedziałam, że mam w aucie alarm, bo wszystko wyje. Samochód wyje, pies w samochodzie wyje, a wokół samochodu gromadzą się zbulwersowani gapie i komentują, co to za bezduszny sukinsyn tak się znęca nad niewinnym zwierzątkiem. Zostawiłam w diabły te zakichane pomidory, chrzanić pomidory, bo za chwilę dobrzy ludzie naślą na mnie kuratora albo jakiś inny inspektorat lub aktywistów z Greenpeace lub TOZ, opublikują mój numer rejestracyjny na facebook' u i jeszcze wpakują mnie za kratki.

A pieseczek co? Na mój widok zawył z radości i łaskawie zwolnił miejsce kierowcy.

Jako że wobec powyższego Tornado zupełnie nie nadawał się na zakupy, postanowiłam wdrożyć pozostałe pomysły zrodzone w amoku wcześniejszych poszukiwań. Buda. Postanowiłam spełnić złowrogą obietnicę związaną z przymocowaniem psa do budy. Uszczęśliwiona, odpuściłam mu przyobiecany w nerwach krowi łańcuch. Uznałam, że dźwięk wleczonego po bruku łańcucha może zaburzyć sąsiadom spokojny sen, ale za to sięgnęłam do piwnicy po długaśną parcianą taśmę, na której niegdyś asekurowałam na

nartach moje dziecko.

Na szczęście mahoń już wysechł, więc przytwierdziłam psa na kilkumetrowej taśmie do ogrodzenia w bliskiej okolicy budy i poszłam do domu. Zabrałam się za sprzątanie, bo przez tydzień poszukiwań nikt z domowników nie miał czasu zajmować się czymś tak mało istotnym jak choćby podłoga w kuchni. Po tygodniu, z powodzeniem można było zostawić na niej buty, więc wreszcie, pełna dobrej energii i optymizmu, postanowiłam rozprawić się z klejącą powłoką. Jeszcze nie zdążyłam nawet sięgnąć po wiaderko, jak pies, w niewiadomy sposób odłączył się od swojej nowej budy i zameldował się w domu.

– Nie, nie, stary. Tak nie robimy- zawołałam łajdaka i po raz drugi przypięłam go do taśmy. Chyba rzeczywiście źle zapięłam zaczep.

Idę. Zatankowałam pół wiadra, a ten gad znowu w domu. Tym razem wylazł z obroży. Chyba za luźna, więc nieco dociągnęłam na regulacji. Dolałam więcej wody do wiaderka. Cap za wiaderko, zlew, akcja, szybkie ruchy, nalewam! Go! Go! Go! Znowu chwilka. Znowu wyszedł. Stoi w kuchni i bezczelnie młóci tym swoim szalonym ogonem. Czyżby obroża nadal za luźna? Dociągam. Sprawdzam. Nie, no. Więcej się nie da. Jedno z dwojga. Albo Tornado się udusi, albo pękną mu oczy. Odpuszczam.

Nauczona złym doświadczeniem i pomna traumy z poszukiwań, profilaktycznie zamykam psa w toalecie przy okazji mając nadzieję, że podstępnie nie czmychnie kanalizacją, i jak głupia pędzę do pobliskiego sklepu zoologicznego.

– Panie! Szelki! Na dziesięć kilo psa! Czerwone, żeby było widać z drugiego końca Kurdwanowa!

– Aaaa, to pani?!- Sprzedawca najwyraźniej mnie rozpoznał. – I jak? Znalazł się piesek?

– Tak. Szelki potrzebuję, na tego psa, wie pan... Gazem!

– Jasne. Proszę.

Zapłaciłam trzy dychy. Jak diabeł dobrą duszę capnęłam te szelki i pognałam do domu. W międzyczasie Tornado chyba odkrył, że toaleta służy do sikania, tak więc obficie obsiurał fajans z dwóch stron i na powitanie radośnie wytarł mokre łapy w moją sukienkę. Niczym niezrażona zdjęłam mu obrozę i założyłam mu nowe, czerwone i bajeranckie szelki. Przypięłam drania do taśmy po raz enty i pewna sukcesu zrobiłam kolejne podejście do mycia podłogi.

Jeszcze nawet nie sięgnęłam po mopa, jak za plecami usłyszałam radosne szczeknięcie psa, który właśnie przyszedł mi oznajmić, że szelki ładne, ale też do luzu i że sprzedawca zrobił mnie w konia. Wrrr... dociągnęłam troki do momentu kiedy psu oczy o mało nie wyskoczyły z orbit, ale upewniwszy się, że da radę oddychać ponowiłam próbę przytwierdzenia go do budy na stałe i umycia tej nieszczęsnej podłogi. Tym razem stopień trudności nieco skomplikował mu sprawę, bo pies odmeldował się, jak już kończyłam myć w przedpokoju, a jego zadowolona mina wyraźnie świadczyła o tym, że jest z siebie bardzo zadowolony i oczekuje nagrody, za to, że tak pięknie uwalnia się z nowych, czaderskich, czerwonych szelek.

Nie, nie. Ja tak łatwo się nie poddam! To niemożliwe, żeby pokonał mnie pies! Nawet bardzo cwany. Zdjęłam zatem te czerwone szelki i znów pojechałam do zoologicznego.

– Do bani te szelki!- powiedziałam. – Zwracam!

Sprzedawca tylko na mnie spojrzał. Najwyraźniej świadom mojej determinacji powstrzymał się od komentarza i poszedł na zaplecze. Nie było go dość długo. W tym czasie oczami wyobraźni ujrzałam ponownie osikany wucet, ale sprzedawca niebawem wychynął z czeluści zaplecza i z miną magika zaprezentował mi to mega zarąbiste COŚ (!).

– Proszę. Z tego już nie wyjdzie- konspiracyjnie zniżył głos.

– Na szelkach tego typu prowadzi się w cyrkach tygrysy.

Przysięgam, żaden, nawet najsprytniejszy kotowaty się z tego nie wywinie. Tym bardziej pies, bo widzi pani...itd.

Taaa. Terefere. Za pierwszym razem zdążyłam umyć jedynie umywalkę w łazience. W drugim podejściu, nie zdążyłam nawet dojść do łazienki.

Moi Drodzy. Uwierzcie, że ostatnie lata z życiorysu Tornado nie zaliczały się do nudnych, a nowiutkie szelki dla tygrysa, po dziś dzień wiszą sobie spokojnie w garażu. No i cóż..., spokojnie sobie czekają aż kiedyś adoptuję jakiegoś tygrysa pierdołę 😊

CDN